

Paweł Sylwester Więżik

Dreszcze Beskidów

Tytuł oryginalny: *Dreszcze Beskidów*

Autor: Paweł Sylwester Więzik

Ilustracje: Lidia Borońska

Projekt okładki: Łukasz Ozon

Korekta i redakcja tekstu: Joanna Krystyna Radosz

Miejsce i rok wydania: Szczyrk 2021

Wydanie drugie poprawione

Wydawnictwo KPB

ISBN: 978-83-960241-2-1

Zamówienia: wiezik.prawda@gmail.com, tel. 782 860 214

Sprawdź również mój zespół muzyczny: SCZ FAMILIA

Spis treści

Od autora	5
ROZDZIAŁ I Skowyt	11
ROZDZIAŁ II Krucyfiks	29
ROZDZIAŁ III Płazy	45
ROZDZIAŁ IV Przemiany	59
ROZDZIAŁ V Guślarz	79
ROZDZIAŁ VI Pieśń duchów	97
ROZDZIAŁ VII Na jawie i we śnie	121
ROZDZIAŁ VIII Kuszenie	147
ROZDZIAŁ IX Studnia	177
ROZDZIAŁ X Ciemność	207
ROZDZIAŁ XI Zamek	235
ROZDZIAŁ XII Klucz Salomona	267
ROZDZIAŁ XIII Młyn	293
Z zapisków brata Alberta	343

OD AUTORA

Witam Państwa w mojej głowie. Wciąż nie mogę wyjść z podziwu, że z własnej i nieprzymuszonej woli zdecydowaliście się Państwo na ten odważny krok, a z jeszcze większą fascynacją patrzę na tych, którzy nabyli egzemplarz *Dreszczy Beskidów* przedpremierowo. Zasadniczo cała akcja zbiórkowa była przecież czymś w rodzaju zakupu Kota w worku, z tą jednak różnicą, że przysłowiowy Kot jest zwierzęciem o anatomii znanej każdemu od dziecka, czego nie można powiedzieć o debiucie książkowym pisarza. W otwartym worku znaleźcie mogliście dosłownie wszystko – od przymilnego sierściucha w postaci dziecięcej książeczki, przez wyrafinowane i dumne, niczym koty syjamskie, poematy filozoficzne, po agresywne tygrysy thrillerów i czające się na gałęzi rysie kryminałów. Sami będziecie musieli podjąć decyzję, z jakim zwierzęciem macie teraz do czynienia, gdyż biorąc w swe ręce mroczną okładkę, którą zaprojektował mój świetny kompan Ozzy, zgodziliście się na test, który roboczo nazwałem testem Kota w worku.

Jako że testy powinny mieć szereg pytań i klucz odpowiedzi, postanowiłem ten wstęp podzielić na bloki tematyczne. W tym miejscu zapewne pojawiają się u Państwa pierwsze wątpliwości, gdyż właśnie teraz mózg przypomina sobie te wszystkie szkolne i pozaszkolne egzaminy, na które nie zawsze zdążyliście się przygotować. Czy te skojarzenia są słuszne? Zapewne tak, gdyż ja sam również w tym momencie odgrywam po części rolę niedoszłego nauczyciela, do której przygotowywały mnie studia polonistyczne i z równą trwogą wspominam samą ideę pozostania w tym zawodzie. Pozostaje mi ukoić Państwa nerwy, gdyż jedyną osobą ocenianą w teście Kota w worku będzie ów Kot, którego trzymacie teraz w dłoniach. Idąc zaś dalej, będzie nim kreator Kota, który zdołał przekonać czytelnika, że warto kupić worek, mimo że ze środka nic nawet nie miauczało.

Pytanie pierwsze: Co to za rasa?

Oto kluczowe pytanie, które zadają pisarzowi wszyscy interesujący się Kotem w worku. Przyporządkowanie do określonego gatunku literackiego jest potrzebne, gdyż daje wskazówki potencjalnemu wydawcy, a w dalszej części odbiorcy ostatecznemu dzieła; ale może stać się również przekleństwem. Ilu to już artystów zostało na stałe zaszufładowanych do pewnej konwencji i nie potrafiło wzbic się ponad nią mimo usilnych starań? Ilu pisarzy, nie mogąc zdecydować się na konkretny gatunek, nigdy nie dokończyło swego dzieła?

Dreszcze Beskidów przeszły długą drogę, aby stać się Kotem, którego trzymacie Państwo w ręku. Pomysł na pierwszy rozdział zakiełkował w mojej głowie gdzieś w okolicach roku 2000, gdy jako nastolatek opisałem na kartkach scenę, która stanowić będzie kluczowy punkt dla całej powieści. Pamiętam, że mój tata był wówczas pod dużym wrażeniem plastyki opisu i stwierdził, że jest to świetny początek książki. Kilkukrotnie namawiał mnie, by rozwinąć tę myśl, a ja jak każdy czternastolatek posłuchałem jego rad i zabrałem się do pisania... jakieś piętnaście lat później. Oczywiście pierwszy rękopis dawno już zaginął w odmętach sortowni śmieci i pewnie różnił się znacznie od tego, co przeczytacie Państwo w początkowych rozdziałach, natomiast idea opowieści liczy sobie już ponad dwadzieścia wiosen.

Zobaczmy teraz metamorfozy, jakie przechodził nasz Kot na przestrzeni ostatnich sześciu, może siedmiu lat. Początkową formą miała być powieść poetycka *Beskidzkie Imaginacje*, pisana trzynastozgłoskowcem i zasadniczo to szaleństwo (bo tak trzeba to uczciwie nazwać) trwało przez dobre dwa lata. Dopiero kiedy zrozumiałem, że tego typu dzieło trafi raczej do wąskiej grupy odbiorców (żony, mamy, taty i może recenzenta), a mój początkowy zapal zaczął delikatnie przygasać, wpadłem na pomysł, by zmienić formę na prozę. Liryka i gatunki dramatyczne, jakie miały składać się na *Beskidzkie Imaginacje* zostały zaś wykorzystane jako wstępy do rozdziałów i stanowią niejako didaskalia tekstu głównego.

Pytanie drugie: Co lubi jeść Kot, czyli kocie przysmaki

Aby Kot w worku stał się naszym przyjacielem i na dłużej zagościł na poślaniu naszej świadomości, musimy go dobrze nakarmić. Nie od dziś wiadomo, że te czworonogi najbardziej pragną uczyty z ręki gospodarza, a rodzaj karmy definiuje po części kocie EGO (jedno z dziewięciu EGO, jeśli mówimy ściśle).

Dreszcze Beskidów nie powstałyby w takiej formie, gdyby nie jakość i specyfika karmy, którą omówię w tym punkcie testu Kota w worku.

Już od najmłodszych lat byłem dzieckiem obdarzonym równie bujną wyobraźnią, co apetytem. Połączenie tych dwóch cech powodowało, że jedną z moich ulubionych rozrywek było wysłuchiwanie barwnych opowieści, które opowiadali mi rodzice oraz wyjadanie z garnka knedli mojej prababci, Marii Cierniak. Muszę przyznać, że rodzice poświęcali nam mnóstwo czasu i angażowali mnie i siostrę w zabawy kreatywne oraz zajęcia rozwijające talenty twórcze. Świat mitów, legend i zakopanych w lesie skarbów towarzyszył nam na licznych obozach harcerskich, a moje pierwsze pisarskie kroki stawiałem w gazetce szkolnej, którą tworzyłem wraz z ojcem. To był nasz czas, piękny i niepowtarzalny. Czas dzieciństwa prześląkniętego magią tak potężną, że po latach zaczarowała kolejne kartki tej książki. Dopiero po napisaniu *Dreszczy Beskidów* dotarło do mnie, że jestem tylko narratorem historii, którą dawno temu opowiedział mi przed snem, nieżyjący już tata. Czy wszyscy nie jesteśmy tylko odciskiem stopy naszych przodków w piasku? A skoro już o tak wysublimowanych metaforach mowa, to największą piaskownicą były dla mnie zarówno dom rodzinny, jak i piękne Beskidy oraz Szczyrk, gdzie się wychowałem.

Powyższe wspomnienia są dość zgrabnym wytłumaczeniem szerokiej obecności baśni i legend w tej książce, nie tłumaczą natomiast, dlaczego zdecydowałem się na solidną dawkę grozy. Kiedy miałem kilka lat (może pięć, a może mniej), moja babcia, Anna Szemik, zaczęła zabierać mnie do wypożyczalni kaset video zlokalizowanej na Podlesiu. To miejsce wciągnęło mnie bez reszty i przez kolejne lata wypożyczaliśmy tam dziesiątki, jeśli nie setki najróżniejszych bajek i filmów. Nie byłoby w tym nic niesamowitego, gdy nie fakt, że odkąd tylko nauczyłem się mówić, szczególnie upodobałem sobie regał z horrorami klasy B (a kto wie, może i D). Był to początek lat dziewięćdziesiątych, więc na brak krwawych tytułów i filmów o zombie nie mogłem narzekać, ale i tak wiele z nich oglądałem po kilka razy, gdyż właściciele nie nadążali z dostarczaniem nowych pozycji dla małego Pawełka. Zamiłowanie do tego typu kina pozostało mi do dziś (choć z czasem ewoluowało w zainteresowanie rasowymi horrorami), a pasję tę dzielę wraz z małżonką.

Potem przyszły książki i Stephen King, który na zawsze zmienił moje podejście do prowadzenia narracji i stanowi do dziś wzór pisarza grozy, równie niedościgniony jak samochód Sylwestra Stallone w *Wyscigu Śmierci 2000*.

Pytanie ostatnie: Kto pogłaszcze Kota?

Kot nie byłby sobą, gdyby nie zabawy z domownikami i godziny gonitwy za wełnianą piłką. To otoczenie kształtuje jego charakter i bez otaczających go ludzi nie byłby kotem na miarę naszych czasów.

Największą pomoc przy tworzeniu książki otrzymałem oczywiście od mojej żony, Madzi. Bezustannie starała się motywować mnie do ukończenia tej historii, co nie było łatwe, bo artysta to stworzenie z założenia leniwe. Jednocześnie stawiała się hamulcowym zbyt radykalnych pomysłów, jakie miałem, gdyż w pewnym momencie stwierdziłem, że *Dreszcze Beskidów* będą tylko opowiadaniem. To skończyłoby się zmarnowaniem świetnego pomysłu iubożeniem całości. Obok mojego taty była także jedyną osobą, która na bieżąco czytała kolejne fragmenty i wymieniała się ze mną przydatnymi uwagami. Bez nich nie byłoby możliwe ukończenie tej książki. Z tego miejsca należą się też podziękowania teściowi Mirkowi za dokonanie wstępnej korekty utworu, co bardzo pomogło na końcowym etapie wydania.

Dziękuję również obu mamom – zarówno mojej mamie Basi, jak i teściowej Bogusi, za to, że zawsze można liczyć na ich pomoc przy naszych dwóch wspaniałych synach, co pozwala znaleźć mi czas na te twórcze odloty, które nieodłącznie wpływają na wewnętrznego Kota. A szczęśliwy Kot to twórczy Kot.

Myszę, że to na tyle, aby nie zanudzać już testem Kota w worku, tylko pozwolić zajrzeć do środka. Jestem ciekaw, co tam Państwo znajdziecie i czy spełni to wasze oczekiwania. Jeśli tak, to świetnie będzie gościć przez lata w Państwa biblioteczkach, jeśli zaś nie, to proszę przekazać Kota w jakieś dobre ręce, bo to zawsze lepsze niż śmietnik historii. Jakby jednak nie zostały ocenione *Dreszcze Beskidów*, najbardziej cieszy mnie fakt, że następcą już rośnie: za finalny tytuł, znacznie trafniejszy od *Beskidzkich Imaginacji*, odpowiada mój syn Jakub.

Miłej lektury!

Szczyrk, 30.11.2020 r.

P.S. Zdecydowanie wolę psy, ale tak jakoś wyszło.

Książkę dedykuję mojemu najlepszemu przyjacielowi, mentorowi, osobie, dzięki której pokochałem książki i zacząłem tworzyć, mojemu Tacie i wybitnemu instruktorowi ZHP – Janowi Więzikowi.

Byłeś dla mnie kreatorem światów, czarodziejem i malarzem, dzięki któremu stary las zamieniał się w Śródziemie, a szafa na strychu w Narnię. Od najmłodszych lat wydawało mi się, że biblioteka w naszym domu nigdy się nie kończy, a dziś dorzucam do niej coś od siebie. Zabrakłoby słów, by wyrazić moją wdzięczność i tęsknotę za Tobą. Jest tak cholernie ciężko napisać mi to, co naprawdę chciałbym Ci powiedzieć...

Dziękuję za wszystko, a przede wszystkim za to, że pomogłeś mi stworzyć Dreszcze Beskidów. Dopóki piszę, czuję, że tu jesteś.

Do zobaczenia na kolejnej zbiórce, druhu. Czuwaj!

Z tego miejsca składam serdeczne podziękowanie dla wszystkich, którzy zdecydowali się zakupić książkę w przedsprzedaży.

**Szczególne podziękowania kieruję
do mecenasów tej powieści, do których należą:**



Miasto Szczyrk i Miejski Ośrodek Kultury w Szczyrku
Barbara Więzik, Bartosz Skwarna, Bogdan Czajewski,
Borys Matlak, Damian Tokarewicz, Dominika Mazurkiewicz,
Dawid Legierski, Daniel Soszka, Henryk i Olga Wierniewscy,
Kamil Zabłocki, Krzysztof Ciućka, Krzysztof Kornaś, Krzysztof Maślanka,
Krzysztof Pacuła, Kuba Gołdyn, Łukasz Bochoń, Maciej Falkowski,
Magdalena Gwardzik-Olszowska, Marcin Pieczka, Michał Misiak,
Michał Zawierucha, Mirosław i Bogusława Dziergas, Roman Uchyła.

Dzięki Wam rozpoczynam nowy rozdział na swojej drodze artystycznej,
w której mam nadzieję będziecie mi towarzyszyć.

ROZDZIAŁ I

SKOWYT

*(...) Rankiem żegnał braci i polować ruszył.
Habit przywdział biały, szkaplerz pasem upiął,
Ale mimo wiary weźmie betty kuszy,
Z boku zaś różaniec przeciw kniei duchom.*

*– Strzygi, czarty, duchy góralskiej legendy.
Wokół świat widzialny – niewidoczny rewers.
Strachy, mary i stos jest niewiernych pełny!
W ogniu spłonie lichy, opuszczając Ziemię (...).*

BESKIDZKIE IMAGINACJE, POEMA NIESKOŃCZONA



Zwierz wyczuł go od strony Gorycznej Skalki. Stał teraz z pyskiem zwróconym w kierunku ciemnej kniei i czekał na swoją ofiarę. Nozdrza zachłannie wciągały kolejne podmuchy wiatru, w których ledwie dało się wyczuć woń potu, i upajały się słodkim zapachem ludzkiego ciała, który poznał wiele lat wcześniej. Dziś o dobry posiłek było coraz trudniej, gdyż mieszkańcy rzadko pojawiali się w lesie samotnie. Wieśniacy zajęli się uprawą roli, budową domów i kominów, z których gęsty dym widoczny był ze szczytów w zimowe wieczory. Polowało niewielu, a ci, którzy nadal nie zajęli się uprawą zboża i hodowlą zwierząt, rzadko zapuszczali się aż tutaj.

Potężne łapy deptały paprocie, kiedy ostrożnie schodził ze wzgórza w kierunku nadchodzącego człowieka. Pod łapami czuł, że grunt jest grząski, a przecież znów zbierało się na deszcz. W powietrzu dało się wyczuć elektryzującą energię, która okrywała z wolna konary drzewa i sierść. Był naprawdę podekscytowany tym spotkaniem, nie mniej niż wówczas, gdy wizytę złożył mu ten smakowity węgierski tragarz. Odwiedziny były zawsze mile widziane, a szczególnie na wiosnę, gdy w brzuchu czuł tę nieznośną pustkę.

Trzask! Nastawił uszu, gdy gałąź oddalona o kilometr od niego złamała się pod naciskiem buta. Nie wył. Nie chciał spłoszyć tego jakże rzadkiego gościa. Lubił wszakże towarzystwo; można nawet powiedzieć, że był szalenie głodny nowych znajomości.



Jakub spojrział w niebo i spał mocniej otulający go płaszcz. Robiło się chłodniej, a podmuchy wiatru niosły już pierwsze krople, które zostawiały na policzkach zimny pocałunek. Założył kaptur i przyspieszył kroku, by szybciej znaleźć się pod osłoną drzew. Spodziewał się zmiany pogody, ale wygrała miłość do porannych polowań. Zresztą wygrywała zawsze, od blisko ośmiu lat, odkąd brat Zygmunt wziął go pierwszy raz na ambonę. W odróżnieniu od pozostałych cystersów wybierał się na łowy samotnie, a przez te lata nauczył się o beskidzkich jeleniach wszystkiego. Znał trasy wędrówki dorosłych osobników, sieć pańników i miejsc, które najlepiej nadawały się do strzału, i topografię terenu, bez której nie byłoby mowy o końcowym sukcesie. Jedyne z czym wciąż miał problem to szybko zmieniające się warunki pogodowe. Mimo iż góry nie należały do przesadnie wysokich, bywały zdradzieckie, szczególnie późną jesienią i zimą. Dziś, chociaż wiosna rozkwitała na całego, a do Zielonych Świątek pozostało zaledwie kilka dni, Beskidy przywitały go kapryśnym płaczem kłębiących się nad głową chmur.

Rozejrzał się wokół i wziął głęboki oddech, by przez chwilę podelektować się zapachem wilgotnego igliwia. Szczerze powiedziawszy, początkowo był sceptycznie nastawiony do przeprowadzki do Szczyrku, zwłaszcza że opactwo w Rudach rosło w siłę i dawało szerokie możliwości rozwoju. Nie chodziło oczywiście o samo otoczenie, znacznie piękniejsze pod względem krajobrazu od tego, w którym się wychowywał. Największy niepokój budziło nastawienie miejscowych. Społeczność nie należała do przesadnie otwartych, a ziemię gęsto wypełniały kamienie, co utrudniało osiedlenie się i uprawę zboża. Do dziś pamiętał nieufność ludzi do pierwszej zbudowanej przez nich kaplicy. Mieszkańcy, którzy do tej pory podróżowali na msze do pobliskich Łodygowic, niechętnie zmieniali przyzwyczajenia. Czy zadecydowało lenistwo, pragmatyzm, czy też zmienili opinię na ich temat? Nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Taki był urok ludzi gór, którzy ponad wszystko cenili sobie przywiązanie do tradycji i tego, co znane. Dopiero po pewnym czasie pierwsze starowinki wybrały się na mszę organizowaną przy prowizorycznym ołtarzu w lesie. Tydzień później przyszli młynarz i właściciel tartaku. Wtedy już wiedzieli, iż to tylko kwestia czasu, kiedy tubylcy przekonają się do ich pracy.

Z rozmyślań wyrwał mężczyznę grzmot, który rozerwał ciszę lasu z gracją walczących na maczugi olbrzymów. A może to anioły grały w kości?

– Pada, świetnie! Będzie je trudniej spłoszyć – powiedział do siebie pod nosem i delikatnie się uśmiechnął.

Kłęby chmur nad jego głową pędziły w ciemnych rydwanach coraz szybciej i szybciej. Szarość poranka ginęła niczym w wielkim garncu wypełnionym smołą, a kłębiące się nisko prądy powietrzne smagały policzki jak bicze. Bajkowy do tej pory krajobraz diametralnie się zmienił. Kolorowe liście, sklejone przez padający deszcz, unosiły się do góry i uderzały z impetem w Jakuba, znacznie ograniczając widoczność. Okrył starannie kuszę, aby woda nie dostała się do mechanizmu urządzenia i upewnił się, że nie zgubił bełtów, które podpiął do pasa z tyłu. To musiało być chwilowe załamanie pogody, więc jeśli odpocznie parę minut, będzie mógł wznowić podróż i upolować zwierzynę.

Nie było wyjścia. Musiał zrobić przerwę i spokojnie przeczekać burzę. Wziął w ręce dwie grubsze gałęzie i zawiesił na nich płaszcz, tworząc coś w rodzaju dachu nad głową. Kiedy usiadł w tym prowizorycznym szałasie, aura już tak bardzo mu nie dokuczała.

„Panie, wybacź” – pomyślał, wyciągając zza pazuchy drewnianą fajkę i nabijając ją tytoniem.

Z trudem wykrzesał ogień przy użyciu starego krzesiwa i zaciągnął się dymem. Poczł się błogo. Lubił palić, odkąd skończył piętnaście lat, jednak mimo wszystko uważał, że nie powinien oddawać się takim uciechom jako duchowny. Co prawda i tak miał sobie mniej do zarzucenia niż brat Albert, którego często można było spotkać w stanie całkowitego upojenia, ale to go nie pocieszało. Mimo kilku lat spędzonych w zakonie i przymusowego przesiedlenia z okolic Raciborza, wciąż był idealistą. Wierzył, że ubóstwo i brak zachcianek są drogą prowadzącą do zbawienia. Długo nie wypuszczał kolejnej chmury dymu, jakby próbował oszukać sam siebie, że nie złamał się kolejny raz. A może dlatego, że lubił, gdy wypełniał on płuca?

Kiedy chwilę później strzepywał resztki żaru, a w ustach pozostał już tylko gorzki smak ostatniego bucha, deszcz wyraźnie zelżał. Dach szałasu mógł znów stać się ubiorem, a on sam myśliwym.

– Czas polować.

Wiśniowe pudełeczko tytoniu, na którym niezdarnie wyrzeźbiono głowę wilka, powędrowało na powrót do kieszeni płaszcza.



Polana cała pokryta była kałużami wody, które gdzieniegdzie tworzyły większe powierzchnie i rozlewały się szeroko. Stawiał kroki ostrożnie, bo grunt był grząski, a łapy co chwilę głęboko się zapadały. Burza minęła, ale dopiero na otwartej przestrzeni dostrzec można było, z jak dużą mocą uderzyła w zbocza góry. Połamane gałęzie utworzyły wokół coś w rodzaju drewnianej obręczy, która oddzielała mokre trawy od leśnej ściółki. Złapał trop. Wąchając liście świeżo zdeптane skórzanym butem, obrał kierunek północny. Szeroko otwarte wilcze lampy odbijały się złowrogo w świetle ostatnich błysków odchodzącej burzy. Źrenice rozszerzyły się i gdyby teraz przejrzał się w kałuży, z radością przyjąłby upiorną przemianę. Był już naprawdę blisko. Poderwał swoje ogromne ciało i zaczął biec w górę lasu, zostawiając za sobą podmokłe trawy. Nawalnica zmyliła jego wcześniejszy trop i niewiele brakowało, a musiałby obejść się smakiem. Dopiero po dłuższym czasie poczuł delikatną woń potu niedaleko źródelka. Znał doskonale ten rejon lasu, gdyż znajdował się tu paśnik przygotowany przez ludzi, a wokół niego często spotkać można było jelenie i sarny. Stado wilków przybywało więc w te rejonu w poszukiwaniu łatwej zdobyczy. Instynkt nakazywałby mu robić to samo, co każde zwierzę. On był jednak inny i w jądłospisie miał mięso o subtelniejszym smaku oraz aromacie, które nie mogło się równać z niczym innym.

Tylko raz zwierzę, które zagryzł, smakowało podobnie jak potomkowie Adama. Było to w chlewie obok zakrystii, gdy głód nie pozwalał mu na dalsze poszukiwania zdobyczy. Zanościło się jednak, że dziś nie będzie wieprzowiny, ale coś znacznie pyszniejszego.

Wilki polują w stadzie, zwykle nie atakują człowieka. Tyle że ten wilk z całą pewnością nie był zwykły.

„Rozszarpie cię, nędzna istoto” – pomyślał.



Jakub stał na ambonie od paru minut i przygotowywał stanowisko strzeleckie. Sprawdził mechanizm kuszy i teraz już spokojnie obserwował ostatnie krople deszczu kapiące z koron drzew. Był świadomy niezwykłości swojej broni, gdyż żaden z braci nie polował z jej użyciem, a w całej dolinie znalazłby się zaledwie jeden podobny egzemplarz. Należał on do kowala Jana, który jednak traktował oręż raczej kolekcjonersko i trzymał go z podziwu dla kunsztu wykonania tej rzadkiej broni myśliwskiej. Łoże kuszy Jakuba wykonane było z twardego jesionowego drewna, w centralnie zaś wykonanym wyżłobieniu znajdował się orzech. Prawdziwa moc konstrukcji kryła się jednak w budowie łączyska. We wszystkich kuszach, które Jakub widział w czasie swych wędrówek, ów element był drewniany. Stosowano przy tym najczęściej drewno cisowe, jesion lub wiąz. Jego egzemplarz posiadał jednak misternie wykonane łączysko kompozytowe. Splecione w szalonym uścisku ścięga, drewno i rogi zwierzęce czyniły ją śmiertelnie niebezpieczną nawet z bardzo dużych odległości. Człowiek, który podarował ją Jakubowi, opowiadał, iż pewnego dnia ustrzelił z niej jelenia z odległości pół kilometra, ale jak to bywa z opowieściami myśliwych, tak i tym razem słowa mogły zawierać tylko część prawdy.

Mężczyzna stał w pierwszych promieniach słońca, z bronią wymierzoną w skraj lasu. Nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyż podobnie wyglądało każde jego polowanie, ale dziś czuł jakiś wewnętrzny niepokój. Ciężko zwalić go na coś konkretnego i wskazać przyczynę czy kierunek, z jakiego nadejdzie zagrożenie, niemniej jednak nie był w pełni sobą. Od pewnego czasu wydawało mu się, że czuje czyjąś obecność.

„To absurd, nikt się tutaj nie zapuszcza o tej porze” – przemknęło mu przez myśl.

Jednak wrażenie, iż ktoś mu się przygląda, nie zniknęło. Na moment wrócił wiatr, wprowadzając w ruch korony drzew. Jakub przyglądał się, jak falują raz

w jedną, raz w drugą stronę, hipnotyzując krajobraz niczym wytrawny kuglarz, mający zebranych widzów. Nagle krzewy po prawej stronie polany mocno się poruszyły, a cysters usłyszał łamiące się gałęzie. Żadne zwierzę się nie pojawiło, ale na wszelki wypadek zastygł nieruchomo i skierował kuszę w kierunku źródła dźwięku.

„Co, u licha?...”

Mierzył w gęstwinę w oczekiwaniu na zwierzę, ale to nie pojawiało się przez dłuższy czas. Las wokół zamarł w ciszy i nawet ptaki przestały śpiewać jak dotychczas...

I wtedy coś mignęło. Potężna, czarna sylwetka zwierzęcia przemknęła pomiędzy drzewami. W pierwszej chwili był pewny, że to cień mający obserwatora swoim rozmiarem, jak cień pająka, który urasta po stokroć w świetle świecy. Ruchy zwierza były tak szybkie, że Jakub nie zdołał przyjrzeć mu się dokładnie. Olbrzymia łapa uderzyła w młodą sosnę i złamała ją w pół; stworzenie wycofało się w głąb lasu.

„Niedźwiedź? O tej porze roku łatwiej spotkać je na Skrzycznem niż tu, po drugiej stronie...”

Mężczyzna podrapał się po głowie i wyteżył wzrok, by zidentyfikować zdobywcę. Jeśli rzeczywiście był to niedźwiedź, musiał go upolować, zwłaszcza mając przewagę w postaci pozycji do strzału. Skóry i tłuszcz tego króla lasu były bardzo cenną zdobyczą i z całą pewnością po powrocie do opactwa uznany zostałby za bohatera. Mimo jednak, iż znajdował się na wysokości kilku metrów, a jego palec drżał na spuście potężnej broni, czuł jakiś nienazwany rodzaj strachu i wyobcowania. Mógłby przysiąc, że jego ciałem raz po raz wstrząsać zaczęła jakaś dziwna choroba. Pocił się, bolały go głowa i kończyny, jakby las i czająca się w nim zwierzyna wykręcały zbolące stawy. I ten szept w uszach. Coraz wyraźniejszy... niepozwalający na tak potrzebne w tej chwili skupienie.

„Nim śnieg spadną... A dzwony dzwonić będą...”

Ból głowy stawał się nie do wytrzymania. Pojedyncze słowa, jakie docierały do mózgu, rozdzierały synapsy i paliły niczym piekielny ogień. Wsparł się plecami o pień drzewa, do którego przymocowana była ambona, i starał się oddychać równo i spokojnie. Ucisk w skroniach nie dawał za wygraną, ale energicznie nabierane hausty powietrza sprawiły, że z powrotem chwycił za kuszę. Na głos odmawiał modlitwę. Nie wiedział dlaczego, po prostu tego potrzebował.

– I uchowaj nas ode złego...

Niebo w oddali przeciął piorun odchodzącej burzy.

– Amen.

I wtedy się zaczęło. Największy wilk, jakiego kiedykolwiek widział, wyskoczył z zarośli z nieprawdopodobną zwinnością. Olbrzymie, pokryte gęstym futrem cielsko z łatwością pomylić można było z niedźwiedziem. Trzy odbicia z tylnych łap i już był w połowie dystansu dzielącego go od ambony. Mnich nie rozumiał tego ataku; przecież zwierzęta nie zachowują się w ten sposób, nawet te bardzo głodne. Mimo że znajdował się na bezpiecznej wysokości, czuł strach. Mechanizm kuszy wydał znajomy dźwięk i bełt poleciał w kierunku zwierza. W ostatnim jednak momencie wilk zmienił kierunek biegu i uniknął niechybnej śmierci. Zdawał się teraz jeszcze bardziej rozjuszony. Był już na tyle blisko, że Jakub dostrzegł jego chore z nienawiści oczy. To nie były źrenice zwierzęcia. Widział w nich całe zło otaczającego świata. Wypuścił drugi bełt i ten dosięgnął agresora. Mimo że rozplątał brzuch stworzenia, to zawył i wciąż zmierzało w jego kierunku, nie zwalniając tempa. Jakub spróbował przymierzyć raz jeszcze, ale potwór dobiegł właśnie pnia i we wściekłym szale począł uderzać w niego łapami. Gruby na półtora metra dąb wydawał się przeszkodą niemożliwą do pokonania przez jakiegokolwiek mieszkańca lasu. Jednak już po pierwszym uderzeniu Jakub poczuł, że drzewo wyraźnie się chwieje.

„Co, u licha?”

Chwycił mocniej barierkę. Zaczął się bać naprawdę. Jeśli tak miał wyglądać ostatni dzień jego życia, powinien walczyć za wszelką cenę. Siał na oślepe bełtami, ale potworny ból głowy nie pomagał i sprawiał, że wszystkie strzały trafiały w próżnię. Wystrzelił kolejny bełt i z przerażeniem stwierdził, że zostały mu tylko dwa. Musiał się uspokoić i przymierzyć. Wilk nie wspina się po drzewach, prawda? Zwierzę pod nim przestało uderzać o drzewo i nastąpiła zupełna cisza.

„Chyba go trafiłem”.

Uśmiechnął się po nose, a ból głowy minął równie nagle, jak się zaczął. Niespodziewanie poczuł, jak deski pod jego stopami łamią się i spada w dół wraz z myśliwską amboną. Ciężko uderzył plecami o ziemię, a na głowę posypały się resztki dotychczasowego schronienia. Leżał na wznak przygnieciony odłamkami podłogi. Zamroczył go promieniujący od stóp do pasa ból. Był pewien, że złamał kręgosłup, jednak po chwili poruszył palcami stóp. Spróbował się podnieść, lecz mimo wysiłków opadł z powrotem na ziemię. W tym samym momencie poczuł ciepło na prawym udzie. Gdy przetaił je dłonią, okazało się, że to krew. Jeden z bełtów kuszy wbił mu się w udo, z którego groteskowy strumień krwi spływał na pogniecioną trawę.

Nie wiedział jak to się stało. Prawdopodobnie stwór jakimś cudem doskoczył do ambony i potężnym ruchem łap zniszczył deski, na których stał mężczyzna.

Kiedy trochę oprzytomniał, rozejrzał się wokół w poszukiwaniu agresora, ale wilka nie było widać. Zdołał podnieść się na tyle, by przypominać coś więcej niż tylko przewróconego na plecy żuczka. Obrócił głowę i krzyknął z niewyobrażalnego bólu, kiedy pazury wbiły się w żebro, wyszarpując duży kawałek ciała i gruchocząc kości. Siła ataku była tak wielka, że przeleciał bezwiednie kilka dobrych metrów i upadł twarzą w błoto. Instykt samozachowawczy okazał się silniejszy od cierpienia. Duchowny błyskawicznie podniósł głowę i przeturlał się na bok, unikając kolejnego ataku. Napastnik zdawał się bawić swoją ofiarą.

Jakub przez kilka sekund mógł się mu przyjrzeć i był już pewien, że nie ma do czynienia ze zwierzęciem. Chociaż ciężko przyznać to przed samym sobą, wytłumaczenie nasuwało się samo – musiały być to siły nieczyste. Brzmiało irracjonalnie? Zupełnie jak wilk wielkości niedźwiedzia łamiący drzewa jednym ruchem łapy! A jednak mężczyzna leżał teraz w kałuży krwi, próbując zasłonić się przed kolejnym atakiem. Od stworzenia czuć było taki rodzaj negatywnej energii, jakiego nigdy wcześniej nie odczuł. W dodatku pysk, któremu teraz mógł lepiej się przyjrzeć, wydawał się wyrażać ludzkie emocje, te najciemniejsze, chowające się na dnie serca i duszy. Stworzenie stało kilka metrów od niego i zdawało się delektować każdą sekundą zadanego cierpienia. Na pysku malowała się podobna pogarda, jaką spotkać można na twarzy królewskiego celnika, który egzekwuje od dłużnika ostatni worek pszenicy.

Krwawił coraz mocniej i nie ulegało wątpliwości, że jeśli szybko nie otrzyma pomocy, las stanie się jego grobem. Zarówno udo, jak i powstała po uderzeniu rana piekły niesamowicie. W rękę wziął ostatni bełt i włożył w mechanizm spustowy. Wilk ruszył w jego stronę, gotowy zadać ostateczny cios. Krew zalewała Jakubowi oczy, ale był pewien, że stworzenie się uśmiecha. Takie rzeczy się czuje, nawet wtedy, gdy tracisz zmysły.

„Nim śniegi spadną... A dzwony dzwonić będą...”

Głos wciąż świdrował głowę i wybrzmiewał jak mantra. Jakub modlił się żarliwie, aby zagłuszyć choć trochę chorą inkantację. To był diabeł? Nikt inny nie miał takiej władzy nad umysłem. Był już trzy kroki od niego, dwa, jeden. Na twarzy poczuł oddech śmierci, który śmierdział jak zmokły na deszczu pies. W akcie desperacji owinął wokół grotu trzymany u pasa różaniec. Potwór wyczuł niebezpieczeństwo i rzucił się do ataku. Jakub wypuścił bełt. Potężna łapa dosięgnęła prawego policzka i duchowny stracił przytomność.

Sekundę później wśród mokrych traw rozsypały się paciorki różańca. W powiększającej się plamie krwi wyglądały jak pozbawione kropek biedronki.



W gospodzie „Na brzegu” panował niesłychany gwar, kiedy Michał wszedł do środka. Rozejrzał się niecierpliwie po izbie, ale nigdzie jej nie dostrzegł. Usiadł więc na drewnianej ławie obok okna i cierpliwie czekał. Anna, bo tak miała na imię kobieta, której wyglądał, była córką tutejszego karczmarza.

– Co dla pana?

Z rozmyślań wyrwał go wysoki damski głos. To nie była ona. Przed nim stała przyodziana w zapaskę karczmarka, której wcześniej nie spotkał. Pewnie była to jedna z dziewczyn, które Jędker zatrudnił do pomocy, gdy liczba gości rosła ponad możliwości jego i Anny. Swoją drogą, zawsze bawiła go chciwość karczmarza, który jak ognia unikał pomocy z zewnątrz, jeśli owa pomoc wiązałyby się z zapłatą wyższą niż talerz zupy i nocleg w izbie gościnnej.

– Piwo.

Karczmarka dygnęła i odeszła bez słowa, a on odprowadził ją wzrokiem, aż zniknęła w kuchni. Chwilę później postawiła przed nim duży gliniany kufel, po którego bokach spływała piana, tworząc wokół naczynia chmielową aureolę. Wyciągnął monetę i podał nieznajomej.

– Nie widziałaś Anny? – Widząc niezrozumienie na jej twarzy, doprecyzował. – Taka szczupła dziewczyna, z czarnymi włosami, jej ojciec zarządza tym przybytkiem...

– Ach oczywiście! Nie wiedziałam, że tak ją zwał. – Oberżystka uśmiechnęła się i wskazała drzwi prowadzące na dziedziniec. – Jest na polu. Pomaga ojcu rozładować wóz.

Michał podziękował i szybkim gestem przechylił naczynie z chłodnym trunkiem. Piana pokryła brodę, więc odgarnąwszy dłonią usta, poderwał się znad stołu i skierował w stronę drzwi. Kiedy wyszedł na zewnątrz musiał zmrużyć oczy, gdyż słońce świeciło bardzo intensywnie. Zgodnie ze słowami dziewczyny po prawej stronie zobaczył wóz należący do karczmarza Jędrzeja, a przy nim odwróconą plecami Annę. Ściągała właśnie kolejny kosz z wyłożonego słomą pojazdu. Promienie słońca wesoło tańczyły na jej haftowanej lnianej bluzce. Michał przez chwilę w milczeniu przyglądał się dziewczynie. Po zgrabnych udach spływała wełniana tybetowa spódnica w kremowym kolorze, gdzieniegdzie przyozdobiona malutkimi różyczkami. Wyglądała tak pięknie, wiosennie.

– Może ci pomóc? – zapytał, kiedy podszedł bliżej.

Anna odwróciła się i uśmiechnęła nieznacznie. Wiedział, że cieszy się na jego widok, ale przywitała go oficjalnym tonem, jakby chciała się chwilę podrozczyć:

– Witaj, panie. Gospoda pełna jest uciech i napitku. Proszę, rozgość się wewnątrz.

Wzrok miała rozbiegany i zarumieniła się delikatnie, co znaczyło, że gdzieś w pobliżu musiał czaić się ojciec.

– Wiesz, że nie lubię, gdy zwracasz się do mnie tak oficjalnie.

Złapał ją za rękę i spróbował przyciągnąć do siebie, jednak dziewczyna, wyraźnie speszona, trzymała dystans. Michał nie dawał za wygraną.

– Przybyłem zobaczyć najwspanialszą kobietę mojego życia i ani jedzenie, ani napoje nie pomogą raczej na to. No chyba, że w twoim towarzystwie, gdzieś w izbie...

– Przestań.

Anna spieszyła się, ale nie była już tak spięta jak na początku rozmowy. Poprawiła swoje kręte, związane w warkocze włosy. Wreszcie popatrzyła mu w oczy, ale widać było, że walczy ze sobą.

– Wiesz, że nie powinniśmy się spotykać. Ludzie w karczmie już gadają, a co będzie, jak zaczną gadać cała wieś...

– To wyjedziemy stąd. Choćby zaraz!

Młodzieniec był w stanie euforii. Zupełnie nie rozumiał, dlaczego dziewczyna tak bardzo boi się związku. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że nazwisko Wagner zobowiązuje, ale status społeczny Anny był mu zupełnie obojętny. Kochał ją. Uwielbiał jej uśmiech, dołeczki, które tworzyły się wówczas na gładkiej skórze. Stała teraz, z delikatnym uśmiechem i czerwonymi koralami, które tak dodawały jej wdzięku, i na Boga, nadal czegoś się bała!

– Wiesz, że to się nie uda. Nasi rodzice... Oni... oni nigdy się na to nie zgodzą. I na co ci przyjdzie taka dziewczyna jak ja. Prosta jestem...

– Ale urodziwa.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale przerwał jej delikatnym pocałunkiem w usta. Nie opierała się tym razem. Wiedział, że sama wewnątrz także pragnęła tego samego, jednak była realistką. Związek prostej chłopki z człowiekiem z możliwego rodu nie miał przyszłości. To na dłuższą metę nie mogło przynieść niczego dobrego, o czym przypominała mu na każdym kroku.

– Uroda minie, Michale. A kłopoty zostaną. – Puściła jego rękę. – Poza tym idź już lepiej. Ojciec wróci zaraz i znów mi się dostanie.

– Majątek i tytuły mogą prysnąć jeszcze szybciej. Jak moi rodzice do Rud na rekolekcje – rzekł żartobliwie i raz jeszcze przytulił ją do siebie. – Dziś o północy, pod twoim oknem. Wyjdziemy choć na chwilę...

– Nie wiem. To zły pomysł... – Pokręciła głową. – Idź już.

– O północy.

Mrugnął porozumiewawczo do ukochanej i cofnął się w kierunku powozu.

Patrzył jeszcze chwilę na jej piękną postać, a ona pomachała mu subtelnie na do widzenia. Mógłby przysiąc, że nigdy nie wyglądała bardziej uroczo.



– Strasznie się grzebiesz. – Głos ojca wystraszył Annę. – Wyładuj te kosze i idź pomóż na sali. Jakbyś nie zauważyła, mamy mnóstwo gości.

Bez słowa zdjęła ostatnie dwa pakunki i zaniósła je do spiżarni. Nie wiedziała, czy ojciec widział ich pocałunek i wołała tego teraz nie sprawdzać. Karczmarz stał jeszcze przez chwilę na dziedzińcu, odprowadzając wzrokiem zaprzęg młodego Wagnera. Kopyta mocno uderzały o kamienną drogę jak serca kochanków na myśl o nocnym spotkaniu.



Nie wiedział, jak długo był nieprzytomny, ale po przebudzeniu leżał w tym samym miejscu, gdzie oddał ostatni strzał. Potężne cielsko wilka przygniotło go do zroszonej mieszanką krwi i deszczu gleby. Więc jednak udało mu się przeżyć? A jeśli zwierzę nadal nie padło i za moment rozszarpie do reszty zmęczone mięśnie i skórę? Jeśli bawi się nim z gracją kota, który męczy zdobycz na długo przed tym, gdy zada jej ostateczny i śmiertelny cios? Spróbował wyswobodzić prawą dłoń i dotknął policzka. Rana na jego twarzy najwyraźniej przestała broczyć, a duża w tym była zasługa ciała martwego agresora, które przyłgnęło do rozerwanego policzka, tworząc coś w rodzaju prowizorycznego opatrunku. Spróbował oddzielić krew od sierści, ale zaschła na tyle mocno, by każda kolejna próba kończyła się uderzeniem bólu. Mnich zacisnął zęby i jeszcze raz pociągnął z całej siły. Udało się! Prawie zemdlał, zrywając płat poszarpanej skóry, ale był już wolny i dopiero teraz zobaczył prawdziwą skalę odniesionych obrażeń. Prawa kość policzkowa najpewniej została pogruchohana, w dodatku pazury przebiły się na wylot. Mimo dramatyzmu sytuacji pomyślał teraz o tym, jak będzie wyglądał, odprawiając kolejne msze?

„Nie będziesz odprawiał już nigdy. Będziesz nasz”.

Czy to on wypowiedział te słowa? Przecież nie martwy wilk, a nikogo innego nie było w promieniu kilku kilometrów. A może uderzył się w głowę mocniej niż wydawało się w pierwszej chwili i to wszystko było efektem upadku? Nie miał czasu się zastanawiać. Jeśli rany były tak poważne jak ból, który odczuwał, każda minuta bez działania przybliżała go do nieuchronnej śmierci w środku lasu.

Spróbował wyczołgać się spod zwłok napastnika. Raz za razem napinał mięśnie i przesunął się o kilka centymetrów w bok. Było to o tyle utrudnione, że lewa łapa stworzenia leżała na połamanym zębrze i każdy ruch powodował, że nieruchome pazury wbijały się głęboko, tworząc na brzuchu ślad, podobny trochę do bruzd, które pozostawia pług ciągnięty przez pole w porze zasiewów. Mimo to przemieszczał się centymetr po centymetrze, aż do napotkania kolejnej przeszkody. Chodziło o lewą nogę, która nie ucierpiała co prawda od samego ataku, ale sterczał w niej grot bełtu. Nie wiedział, w którym momencie się postrzelił, ale zdawał sobie sprawę, że jeśli go naruszy lub nie daj Boże wyciągnie, rana znacznie krwawić jeszcze intensywniej i ów las stanie się jego grobowcem. Podniósł wzrok i spojrzał błagalnie w niebo. Musiało być już bardzo późno, gdyż księżyc znajdował się tuż nad jego głową i był jedynym punktem orientacyjnym. Mimo iż z bólu tracił zdrowy rozsądek, wiedział, że zostało naprawdę niewiele czasu na uzyskanie pomocy. Wreszcie rozpacziwym ruchem wyciągnął nogę spod brzucha stworzenia, łamiąc przy tym pióra, którymi zakończony był bełt. W świetle pełni przeszyte udo wyglądało fatalnie. Ze środka wciąż sączyła się posoka, co oznaczało, że przebił tętnicę lub żyłę. To dlatego czuł się taki słaby. Przez wiele godzin wykrwawiał się tu w głębi lasu, z dala od Misji i braci.

Czy ktoś w ogóle go szukał? Czy między drzewami usłyszy zaraz znajomy głos Zygmunta i Alberta, którzy ucieszą się na jego widok i powiedzą, że nic się nie stało? W ciemności do głowy przychodziły różne myśli, ale te wydawały się szczególnie złudne. Polując, często znikał na dwie-trzy doby, a leśna ambona służyła mu wówczas za schronienie i noclegowisko. Dlaczego zatem ktoś miałby pomyśleć, że tym razem jest inaczej? Mimo wszystko rozpaczliwie czołgał się w dół zbocza i wypatrywał wśród cieni znajomych twarzy. Zamiast tego słyszał tylko szelest liści i niewyraźny szepot, który jak już ustalił sam ze sobą, musiał być efektem upadku.

„Chodź do nas. Wsłuchaj się w odgłosy koła”.

– Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulęknę, bo Ty jesteś ze mną – powtarzał coraz głośniej, chcąc zagłuszyć te przekłete głosy wokół.

A dolina w oddali była ciemna i do światła domostw tak było daleko.



Leżeli obok siebie przytuleni i patrzyli w gwiazdy. Dziewczyna liczyła je przez moment, co Michałowi wydawało się naiwne, ale i słodkie. Sam wpatrywał się w Wielki Wóz, który był tej nocy doskonale widoczny, i delektował się jedną z nielicznych wspólnie spędzonych nocy. To była ciepła pełnia księżyca, a przyjemny wiatr schodził po zboczach Klimczoka, otulając zakochanych niewidzialną pierzyną podmuchów. Po porannej burzy nie było już ani śladu, chociaż w sumie padało głównie w wyższych partiach lasu.

– Widzisz, a tak się bałaś... – Michał bawił się kosmykami jej kruczoczarnych włosów. – Nie wiem, co bym zrobił bez ciebie – dodał i pocałował ją w szyję.

Dziewczyna uśmiechnęła się i przytuliła do jego ramienia. Czuł na skórze jej oddech, jeszcze przyspieszony i kuszący. Wciąż była rozpalona żarem niedawnych uniesień; było to szczególnie widać po policzkach, które odcinały się różem na tle ciemności. Patrzył na nią w milczeniu i sądził, że była teraz naprawdę szczęśliwa. Fakt, że wymknęła się z domu bez wiedzy ojca, dodawał ich miłości niezwykłej pikanterii. Mimo że nie byli już dziećmi, ukrywanie wspólnych schadzek przed rodzinami było dla chłopaka ekscytujące. Oczywiście Anna miała na ten temat zgoła odmienne zdanie i częściej męczyły ją wyrzuty sumienia, ale finalnie było im ze sobą dobrze, prawda?

– Myślisz, że to Bóg dobiera ludzi w pary? – zapytała niespodziewanie, odwracając głowę w jego stronę. – I to wszystko, co robimy, z kim się spotykamy... to... to jakiś z góry założony plan?

Powaga pytania wyraźnie zaskoczyła Wagnera, ale nie dał po sobie tego poznać i po chwili objął ją mocniej ramieniem.

– W coś trzeba wierzyć. Jeśli stwierdzić, że Bóg nic z miłością nie ma wspólnego, to po co go w ogóle czcić? Zresztą, patrząc na nas, nie sposób uniknąć wrażenia, że ktoś wyżej maczał w tym palce.

Anna uśmiechnęła się szeroko, co oznaczało, że z satysfakcją przyjęła jego wyjaśnienie. Następnie jednak zadarła zabawnie nos, co oznaczało, że chce się z nim chwilę podroczyć.

– A mnie czasami się wydaje, że wszystkim rządzi przypadek. Myślę, że Bóg może być już tak stary i zmęczony, że nie ma czasu patrzeć na górską dolinę i karczmarkę, która biega za nierealnym marzeniem – westchnęła – albo kpi z nas ku własnej ucieście i siedząc z aniołami, patrzy z nieba na kolejne swoje żarty.

Michał podparł się łokciami i patrząc za horyzont, bawił się kawałkiem słomy. Znał Annę już na tyle dobrze, by wiedzieć, kiedy ma ochotę na wygłupy, a kiedy mówi poważnie.

– Skoro jest tak, jak mówisz, to nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś uciekła ze mną. Jeśli dla Boga jesteśmy kpina, po cóż przejmować się rodzinami?

Zaśmiali się głośno, a echo radośnie zawtórowało. Popatrzył w jej oczy i zobaczył w nich odbicie iskry, która rozpałała także jego wnętrze. Delikatnie przewrócił dziewczynę na trawę i zaczął całować po szyi. Centymetr po centymetrze pieścił językiem skórę pachnącą pożądaniem i mokrą trawą. Schodził coraz niżej, kiedy poczuł jej zęby na małżowinie ucha. Anna dyszała głośno i delikatnie przesuwała ustami po jego ciele. Wreszcie na powrót ściągnął bluzkę, którą przed momentem niedbale zapięła. Wszedł w nią zdecydowanym i szybkim ruchem, a dziewczyna jęknęła głośno, kiedy spleli się w miłosnym uniesieniu. Energiczne ruchy płonących erotyzmem ciał nabierały tempa. Jej krzyk rozdarł powietrze niczym piorun, a echo jęknęło w ekstazie sekundę później, gdy opadli bezwiednie w czułych objęciach.

– Przestań, bo ktoś nas tu wreszcie nakryje.

W pierwszej chwili była pewna, że to Michał, który usiadł teraz plecami do niej i niezdarne zakładał spodnie, ale odgłos zdawał się dobiegać z innego miejsca.

– Ale to nie ja. Myślałem, że to ty...

Anna zerwała się na równe nogi i zasłoniła dłonią sterczące sutki. W krzawkach za ich plecami coś najwyraźniej poruszyło się, a kiedy zamarli w bezruchu, byli prawie pewni, że słyszą czyjś nierówny oddech.

– Może to jakiś podglądacz?

Mężczyzna rozejrzał się wokół w poszukiwaniu namiastki broni, która mogłaby posłużyć do przepędzenia intruza. Wreszcie chwycił grubszy konar drzewa i zaczął powoli podchodzić do źródła hałasu.

– Po...mo...cy... – słyszał teraz wyraźnie i zobaczył sylwetkę skurczoną w zaroślach.

Człowiek ten był nienaturalnie powykrzywiany, a jego twarz pokrywały skrzepy krwi posklejane ze ściółką i brudem. Mimo przerażającego wyglądu z całą pewnością nie stanowił zagrożenia, gdyż był na wpół przytomny. Widząc to, Anna ubrała się szybko i ostrożnie podeszła. Spojrzał na nią i stwierdził, że rozpalone policzki traciły kolor w miarę upływu kolejnych sekund. Kiedy podeszła bliżej i zobaczyła poszarpane ciało mężczyzny, kolor jej twarzy zlewał się już z barwą tarczy księżycy – tak była blada i przestraszona.

– Czy... Czy on... – dało się wyczytać z ledwo dostrzegalnych ruchów warg. Jeszcze przed momentem były czerwone, kuszące i Michał cieszył się każdym milimetrem ich powierzchni. Teraz, gdy Anna podeszła bliżej i dostrzegła to, co po-

zostało z twarzy nieszczęśnika, jej usta w niczym nie oddawały niedawnej ekstazy. Błede kąciki wykrzywione w grymasie niedowierzania, w połączeniu z szeroko rozszerzonymi źrenicami i martwym spojrzeniem, sprawiały, że dziewczyna wyglądała groteskowo w tym odludnym miejscu.

– To chyba brat Jakub? Musimy zabrać go do miasta czym prędzej, bo wygląda jak śmierć. Podaś mi moje ubranie?

Anna rozejrzała się i podniosła z ziemi koszulę. Michał zawiązał ją na udzie rannego, aby zatamować krwawienie. Rana wyglądała na mocno zabrudzoną, ale nic więcej nie mógł zrobić. Poszkodowany leżał teraz nieruchomo, więc postanowił sprawdzić, czy oddycha. Szum wiatru utrudniał ocenę, ale sądząc z ledwo wyczuwalnego ruchu klatki piersiowej, żył, choć stracił przytomność na skutek odniesionych obrażeń.

– Prawdopodobnie doczołgał się tu z lasu. – Chłopak przyglądał się ranom na jego twarzy. – Musiało go zaatakować dzikie zwierzę.

Teraz, gdy obrócił go twarzą do góry, zyskał pewność, że to Jakub, młody zakonnik, który od kilku lat służył w ich wiosce. Ojciec swego czasu był bardzo zadowolony z jego pomocy przy sprzedaży drewna z tartaku do opactwa w Rudach Raciborskich, ale on sam znał go najslabiej spośród wszystkich cystersów, jacy mieszkali w dolinie.

– Biegnij już po wóz. Ja tu zostanę. – Głos Anny był matowy i jak gdyby pozbawiony emocji.

– Jesteś pewna? Widzę, że słabo wyglądasz. Nie powinnaś zostawać tu sama – dotknął jej ramienia i spojrzał w oczy.

– Idź już. Nie może umrzeć. Zostanę przy nim.

Była w wyraźnym szoku i w normalnych okolicznościach nie zostawiłby jej samej, ale ten wieczór nie należał do zwyczajnych i musiał działać błyskawicznie. Zanim pobiegł, chciał jeszcze dodać jej otuchy, ale nie odwzajemniła spojrzenia i usiadła w odległości metra od nieznanego. Ruszył więc w dół na złamanie karku, a przyspieszone uderzenia krwi w tętnicach zlewały się z odgłosem butów na szczyrkowskich kamieniach.



– Kręci się, kręci się... Dziwna karuzela. Czas w klepsydrze sypie się w dół ziarenkami! Niech lata uleczą ponad obłokami i koło diabelskie poruszy się teraz! – okrzyk starca poniósł się w dal.

Podszedł bliżej drewnianej konstrukcji, aby rozpałcić kadzidła pod młyńskim kołem. Mieszanka żywicy, owczej skóry i sosnowych igieł zapłonęła chwilę później i osłoniła gęstym dymem miejsce kultu. Twarz umalowaną miał krwią jagnięcia, którego truchło porzucił kilometr dalej. Siwe włosy zdawały się błyszczyć w ciemności nocy, jednak był to zapewne efekt jasno świecących gwiazd, które były doskonale widoczne na nieboskłonie. Obok prowizorycznego ołtarza paliło się niewielkie ognisko, nad którym starzec postawił mały kociołek. Kiedy kadzidła już zadymiały miejsce, w którym się znajdował, podszedł do niego i zamieszał drewnianą łyżką. Wykonywał tę czynność z chirurgiczną wręcz precyzją. Najpierw sześć razy w prawo, następnie sześć razy w lewo. Czynność powtórzył kilkakrotnie. Nachylił się nad wrzątkiem, żeby sprawdzić, czy wąż jest już ugotowany. Mięso eskulapa wyglądało całkiem zachęcająco.

Guślarz sporo się namęczył, aby go złapać. Na ślad gada wpadł po kilku miesiącach intensywnych poszukiwań. Zwierzę obrało sobie za kryjówkę zarośla nieopodal koryta rzeki Żylicy. To właśnie tam dosyć często widywał resztki udużonych ptaków, gryzoni i jaszczurek, które stanowią przysmak tego największego żyjącego tu węża. Minęło jednak kilka dobrych tygodni, zanim zdołał go schwycić. Drewniane pudełko z zapadką zatrzasnęło się ostatniej nocy poprzedzającej planowy rytuał i wąż znalazł się w potrzasku. Teraz, kiedy patrzył na bulgoczącą wodę i pływające w niej mięso wiedział, że trud się opłacił. Kiedy ognisko wygasło wyciągnął eskulapa z kociołka i pociął na mniejsze, łatwiejsze do połknięcia kawałki. Chwycił pierwszy z nich i zaczął przeżuwać. Smakowało gorzej niż się spodziewał, a kolejne kęsy oślizgłego zwierzęcia z trudem przechodziły mu przez gardło. Był jednak wytrwały, bo wiedział, że to jedyna droga do rozmowy z NIMI.

„Kto zje białego gotowanego węża, ten zrozumie mowę zwierząt i zobaczy duchy unoszące się w powietrzu”.

Ostatni kęs niesmacznego posiłku mężczyzna popił łykiem wina. Następnie usiadł naprzeciw koła młyńskiego i zamknął oczy. Trwał tak w skupieniu przez kilkanaście minut, ale nawet przez moment nie stracił wiary, że się uda. I wreszcie masywna konstrukcja drgnęła. Nieużywana od wielu lat machina zaczęła się obracać: najpierw powoli, ospale, jakby niechętnie. Po chwili koło kręciło się już dość szybko, skrzypiąc i zakłócając ciszę nocy. W odgłosach tych starzec coraz lepiej wychwytywał czyjś szept, który z każdym pełnym obrotem stawał się wyraźniejszy.

– Szyjcie, Dejaniry! Niech się kręci koło czasu! Piejcie kury, na wezwanie, śmiejcie czarty się po lasach!

Dziwna wyliczanka rozbrzmiewała teraz już bardzo wyraźnie, a Guślarz promieniał z zachwytu. Stare kości zdawały się odzyskiwać utraconą sprawność i tańczył wokół diabelskiego młyna, jak za najlepszych czasów młodości.

– Dokonało się – wyszeptał i zanurzył głowę w dymie kadzidła.

W dolinie zawył pies, a chwilę później cały Szczyrk rozbrzmiewał już ujadaniem z kolejnych gospodarstw.

„Idzie śmierć” – pomyślał, patrząc na hipnotyczne ruchy młyńskiego koła, a spomiędzy zbutwiełej konstrukcji wybrzmiał czyjś złowrogi śmiech. Psy wyły do świtu.